Sama.

obrazek Andreja Galicy

druk. w „Zorzy"

autograf autora własn.

osobno

druk.: [wyd. zb. t. 12.] s. 55 - 57

KOFFIE

Moet groeien in een bergachtig gebied, dat tusschen 200 en 1000 M hoogte ligt.

Koffie bedraagt 75 % van de heele uitvoerwaarde van Brazilië.

Brazilië	produceert	67 %	van de wereld koffie-productie
Midden Amerika	,,	13,8 %	,, ,, ,, ,, ,,
Ned. Indië	,,	6,5 %	,, ,, ,,, ,, ,,

THEE

Britsch-Indie	produceert	1/5	van de wereldproductie
Assam	,,	4/5	van de Britsch-Indische productie

Engeland en Kolonien beheerschen 2/3 van de wereldmarkt

CACAO

Moet 2000 m.M. neerslag hebben en minstens een temperatuur 22 graden C.

TABEL VAN DE CACAO-PRODUCTIE

	1912	1928
Brazilië	15,9 %	14,2 %
Eguador	15,9 %	4,4 %
San Thomé	15,2 %	3,1 %
Nigeria	0 %	9,1 %
Goudkust	12,5 %	43,8 %

TABEL VAN KATOEN-PRODUCTIE

	1919/14	1928
Ver. Staten	2,8 %	2,8 %
Britsch-Indië	o,7 %	1 %
Egypte	0,3 %	0,37 %

Dar prof. Pigonia

1

Na kosbę

obrazek Andrzeja Galicy
przepisany potem przez Orkana
i przesłany do lwowskiej Zorzy

— Na kosbę —

I.

— Mamo! a kany Jaś?
— Jaś — dziecko? — Jaś poszedł do Węgier.
— Do Węgiel?
— Tak — tak do Węgiér — przyniesie ci chleba
— Chleba?
— Chleba — dziecko — przyniesie — chleba węgierskiego...

Drzwi się otwarły skrzypliwie i do izby weszło dziewczę, chude jak choinka. Zwinnie przeskoczyło wysoki próg, jak spłoszona jaszczurka przeskakuje kamienie na kępie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
— Na wieki wieków — witajże Hanuś.
— Cóż tu u Was słychać Chrzestnymatko? — ponoście Jasia dziś wyprawili na kosbę?
— Ej ta wyprawiła — Boże się pożal — dziś dodnia — jeszcze dzieci spały.
— Mogliście go ta jeszcze ostawić przy chałupie — mogli — chociaj rok, dwa. Zaraz Wam samej ani w pole robić, ani te dwie biedne krowy paść, a przecie ich przez lato nie myślicie na powrozie trzymać. A we Węgrach — powiadają — trzeba ostro zwijać kosą, chcecy co zarobić — a on przecie jeszcze słaby do kosy — młody — szesnasty roczek — Boże! mój rówieśnik...
— O wiem ja moja Hanuś — wiem — ale co robić? co robić?, kiedy przecie straszna na nas bieda. Pokiela jeszcze nieboszczyk żył — to jeszcze — jeszcze było jako tako. Chodził do tych Węgier, przyniósł — było i na sól i na podatki i dymowe było; ale teraz już z nikąd nic. Tu przednowek — ziemniaków w dole jeno szczypta — może jeszcze na dwa razy — a z miasta już drugie upomnienie... Moje biedne chłopczysko — nieraz mi gadał, że jak dorośnie, choć na koniec świata pójdzie po zarobek bo nie-sposób dalej tak żyć — nieraz gadał, że i nowe budynki postawi... I przyszli ten od Tatara Józek i Kuba z Potoka, co z nieboszczykiem ~~na~~ kosbę zawsze chodzali i on się też uparł, że pójdzie z nimi. —
— Mógł on jeszcze przez to lato ze mną krowy paść — mógł — przę-wała Hanusia
— Ja mu ani nie ~~o~~kazywała, ani go też bardzo nie wstrzymywała — i poszli...

Jak biadała biedna kobiecina, krzątając się po izbie. Izba zwyczajna, dosyć obszerna, z okrąglaków, umszona mchem.

W jednym kącie piec, w drugim pościel, przy oknie warsztat tkacki, stary, drzadkowski, sczerniały od dymu. Koło pieca i popod jedną ścianę ława. Parę obrazków na ścianie – stare zadymione bohomazy, co już od starości zmieniły kolory i jak jakieś zagrobne widma patrzały na izbę. Obok drzwi, koło słupa łyżnik o pierwotnej rzeźbie i drewniana półka na miski. Kawał deski oparty na prostych dosyć niskich czterech kołkach, służący za stół – dwa stołki a raczej półokręglaki o czterech samorodnych nóżkach – i to wszystko.

Dwoje dzieci w wytartych koszulinach. Jedno dziewczynka przekomarzała się z matką i biegając po izbie nuciło monotonnie:

Jaś posej do węgiel
Przynie się mi chleba...

Drugie siedziało na środku izby i bawiąc się polankami drzewa układało jedno na drugiem w czworobok.

Słoneczko, co z trudem przedzierało się przez okno, oświetlało to szare życie.

Kobiecina zbliżyła się do pieca, drewnianą łyżkę sięgnęła do garnka, wyjęła jeden ziemniak, zgniotła go drugą ręką na łyżce, potem ocedziła z waru ziemniaki i garnek postawiła na dylach koło pieca. Odwróciła się po miskę do półki, a tymczasem mały dzieciak przyczołgał się ku garnkowi, chwycił gorący ziemniak i narobił płaczu.

Hanusia przyskoczyła, ziemniak pognięty wyjęła mu z rączki ale dzieciak płacząc wciąż zaciskał piąstki. Wzięła go matka do siebie i, chuchając na paluszki, tuliła do piersi.

– Cyt-cyt – papu dzidzi chciało? papu? – a to tiki.

Drugie chwyciło się spódnicy i podrygując na około matki, oczęta wlepiło w Hanusię i powtarzało dalej:

Jaś posej do węgiel
Przyniesie mi chleba

– O przyniesie – przyniesie – szepnęła Hanusia i wyszła.

Postała i podumała, Przed ~~chałupą~~ spojrzała na słonko, a ono już setny kawał po niebie uszło od południa.

Wpadła na swoją oborę. Matka już krowy spuściła z łańcuszków, a one wyszły leniwie ze stajnie, mięrgdząc na próżno, bo resztki rano uzbieranej trawy przeżuły przy podoju. Rykiem przywitały Hanusię ale i matka nie inaczej:

– Gdzieś ty djaskówo Hanuś zjadła! – ejeś zjadła – kaj się przecie wciurnosy nogą?! – słonko już środwieczerz – krowy się dornaku zamięrgdzały – a ty kajsi siedzisz i siedzisz – Jak

się ty ludzi nie wstydzisz - brzydulo?! - zawsze ostatnia ze wsi wychodzisz z krowami - ale to zawsiurzeńki - A jak jeno przyżenie ku chałupie, to miasto, jak inne dziewczęta, wypaść na miedzę urwać świeżej trawy ku dojeniu - to nie - jeno ją zaraz kajsi kaduk porwie. Ho! jeno tak dalej włóczykiju - będzie z ciebie ładna gaździna - ho! będzie - - -

Hanusia nie odrzekła ani słówkiem. Milcząc, porwała na się zgrzebną chuścinę, porwała bicz, krowy zajęła z obory - krowiny trzy: Kraskulkę, Brzezulę, Bystrochę i pognała kamienistą dróżyną pomiędzy chałupami ponad potokiem. Gnała zwolna uboczą ku osiadłym na miedzy jałowcom. Stąpała ciężko skulona, utykając bosemi nogami po kamykach, patrząc na sucherlawe krówki przed siebie. A krowy darły pod górę dobrze im znaną dróżyną - nie pierwsze lato bruździły tę drogę racicami. Dziewczyna szła za niemi zamyślona, opuszczając się na ich wolę, ale w sobie dusiła jakiś straszny ból, bo kościste ramionczka na plecach ogromnie pracowały - to podnosząc się, wytężały chuścinę przez plecy, to opadając, fałdowały.

A gdy krowy dopadły już ugoru i chciwie chwytając niską i rzadką trawkę, zaczęły chrupać zębami, Hanusia przystanęła i jakby ze snu zbudzona - ocknęła się - odwróciła się po za siebie ku chałupom i łzy jak groch zaiskrzyły w jej czarnych ślepkach.

— Boże! - Boże! - wyszeptała z cicha i osunęła się na ziemię pod wysoką miedzę przy jałowcach. Twarzyczkę osmaganą wiatrem w chude ujęła dłonie i ściskała, jakby ją zmiąć chciała. Łzy pomiędzy suche paluszki wybryzły i jak miniaturowe potoczki górskie drobnymi żlebami spływały - ku ziemi kapały ciurckiem i zerwał się cicho rzewny, tkliwy płacz...

Po-nad nią na miedzy szumiały jałowce - cicho i smętnie, jakby chciały się dostroić do tonu z żalem dziewczęcia. Po suchym ugorze dudniało głucho miarodajne posuwanie się krów szczypiących niską, rzadką trawkę. Krasulka podniosła łeb i oczy jak talerze skierowała w stronę swej piastunki, jakby ją dziwiła jej nieruchomość i taki niezwykły

rzewny, tkliwy śpiew. W dole huczał wartki potok, jakby się cieszył, że łzy zasilą i wzmocnią jego pęd.

Od chałup doleci czasem wrzawny ~~śpiew~~ głos lub skowyk psa. Gdzieś z odległych ugorów lekki wiatr donosi zgłuszony smutny śpiew:

Pokochaliśmy się
Kieby gołąbecki
Heej! odlecieliśmy się
Kieby jaskółecki
Heej! odlecieliśmy się
. . . .

Poza tem na ugorach cisza, choć wiosna i maj. Czasem tylko ptak przeleci z piskiem ponad kępy i jałowce, a z drugiej strony potoka, z przeciwnej ubocy, od grapy, na której ludzka siekiera oszczędziła resztkę dawnego lasu – dorodne smreki – rozlega się głośne krakanie wron zbierających chrust i patyki na nowe gniazda.

– Boże! – Boże! – szeptała dalej płacząc.

– Czemuż ja płaczę? – czemu? – Żeby szedł ktoś teraz miedzą i spytał mi się, co mi jest? i o co płaczę? – nie wiedziałabym, co odpowiedzieć. – nie wiedziała... Co to jest? – Co się ~~dzisiaj~~ ze mną dzieje? – Czemu mi się dzisiaj, jako nigdy przenigdy płakać chce – czemu? Płakałabym tak do zachodu słonka – a czemu?... Przecie mama nieraz na mnie krzyczała – ale to już jej zwyk – o byle co – a przecie tak nigdy płacki nie rzuciły mi się na oczy – nigdy – nigdy – jeno dziś – Czyżby temu, że on poszedł do tych Węgier?... Poleciał głucho, jak to piórko, co wiatr porwie i niesie za góry i lasy – poleciał – nie pedział nic – nic – ani słówka... Ale przecie on mi ani brat, ani krewniak – a jednak...

Podniosła główkę.

– Teraz się już samej tak cnie na ugorach... Jeszcze łońskiego lata był choć on – było choć do kogo przegadać... Tuśmy pomiędzy te jałowce razem łazili... Hań przy tym wielkim na miedzy, już pod jesień kręciliśmy bicz na kulkach... A załońskim był jeszcze Józuś z Brzyska, co gdzieś w Ostrawę poszedł i teraz

ani słychu dychu o nim – a dziś kaj jego ojciec głuchy pasie na trzecim ugorze – na co to starowinie przyszło... Był i Kowalów Jantuś, co do Peszta poszedł. Wrócił – Boże się pożal – a dziś już nad nim wiater trawę kołysze nad smentarzu. A Jędruś – Boże strach pomyśleć... Ale jak te wrońska dziś przebrzydłe wrzeszczą, jakby kiej je kto dziś akuratnie najął...

Zamyśliła się na chwilę... Od gór przeciwległej grapy zawiał silniejszy wiatr. Szum świerków zmięszany z jakimś złowieszczym krakaniem wron, które się uwijały ponad ich wierzchołkami, obił się o jej uszy. Westchnęła głęboko...

– O! wtedy, kiedy jeszcze oni paśli – inaczej się pasło – inaczej. Zgadzaliśmy się i paślimy se razem. Co to nieraz było uciechy, jak my się bawili w zajączki – skakali przez jałowce, albo przez dym ponad watrę. Wtedy się nie wyzierało, skoro słonko zajdzie i często po zachodzie pasło się do nocy. A potem ze śpiewaniem szliśmy z krowami ku chałupom. A dziś?.. Strasznie się tak samej cnie... Dziś wszyscy w świat... Rozfurknęli się do jednego, jak te ptaszki, co się tu przez wiosnę po jałowcach lęgną – rozfurknęli... I on ostatni – ledwie co od ziemi odrósł – i już w świat... W świat – dziś z dodnia – z rannym dymem od chat przeszli tędy ubocza – hen za te wierchy – poszli z dymem od chat...

Tymczasem krowy pasący się dochodziły już do końca ugoru. Krasulka pozostawała w tyle i oglądała się wciąż na swą panią. Hanusia się podniosła, płachciną oczy przetarła i szła je zawrócić chwiejnie, jak staruszka. Przyszła ku Krasulce pogłaskała ją po pysku a zwierzę, jakby spragnione jej pieszczot nadstawiało skrętnie łba.

– Paś się Krasulko – paś! – rzekła czule – bo jak łacna wrócisz ku chałupie, znów mama zacznie krzyczeć – Potem zawróciła tamte dwie i znów szła z nogi na nogę między jałowce, nucąc z cicha słowa, które się jej same gwałtem pchały na wargi, jakby jakaś pośmiertna pieśń:

Lecą chłopcy
I parobcy
Lecą w dal...

A za nimi
Smutek w chatach,
Płacz i żal,
Płacz i żal.

6.) Przystanęła...

– Dlaczego to nasi tak ciągną w świat? – Czy już na całym bożym świecie nikt nic nié robi, jéno nasi za wszystkich? Porobią u siebie, a potem ~~wa~~ wszystkie kraje, jakie jéno kiedy ucho słyszało idą nasi na robotę. Idą tak wielki jak i mały i dziéwczęta idą het. Potem tam żyje we świécie zdrowie – wraca tu kaleką i jeszcze niéjeden na starość z głodu umiéra. To dziwne rządy na tym bożym świécie... Ale to jakieś ludzkie krętactwa. Przecie Pan Jezus taki niésprawiédliwy nié jest. Za cóżby akuratnie nas miał skazywać na taką wiéczną biédę i mordęgę?... To dziwno... Do nas, jak przyjedzie jaki światowiec, to jéno pochodzi po halach, przejrzeć góry i turnie...

Zadumała się patrząc na szczyty Tatr, na które prawie zachodzące słonko rzuciło krwawy blask.

– A musi hań barz piéknie być na tych skalnych wiérchach, kiedy tu tyle ludzi przyjeżdża co lato ze świata i pieniądze traci... A kto hań od nas idzie?... Juhas z owcami, lub przewodnik z pańską torbą a reszta świat zeżyje marnie... wszystkie kraje przewędruje a nigdy nie ma czasu wyjrzeć na te ~~różne~~ turnie... ~~nigdy... To dziwno~~!...

Sama.

Mamusia miała jej wyganiać krowy i zajęła się ku oborze, ale przedtem spojrzała ~~na~~ w ulicę, czy Jasiek od śniadania wygnał, bo jak nie... W samej rzeczy! nie wygnał jeszcze, choć co każdy dzień o tym mówił, a nawet i wczoraj, ~~w~~ nieraz wyganiał! ~~Cóż Drugo tak zbawiło~~?

– Cóż ono go tak zbawiło?

Stanęła chwilę, poczekała, ale nic nie widać! Raptem zwyrtła się na pięcie i pobiegła ku ich izbie obaczyć naocznie.

– Czemuż wy nie wyganiacie? – zapytała chrzestnej matki, ~~która się~~ stojąc w progu drzwi otwartych, zadyszana biegiem.

– E bo nima kto wyganiać...

– A Jasiek ~~Kany~~ Kany?

– Jeś poszedł ~~do~~ z Kosiarzami na węgierską stronę... Przyszli, jeszcze nie świtało, ten Tatara Józek i Kuba z potoka, co to jeszcze ~~...~~ nie z zbójnickiemi kośbę chodzili – przyszli i poszli ~~za~~ z nami!... ja mu ta nie dowodziła, ale cobyś zrobił, jak się uprze, to ani rusz, takie zmolne do roboty, choć to przecie jeszcze dziecko...

– Boże! mój rówieśnik...

Postała chwilę u progu, wysłuchała długiej litanii narzekań chrzestnej matki i odeszła, nie mówiąc ani słowa. Zdawało się jej tylko, że duży kamień od niedzieli stanął ~~na~~ jej na piersi i gniecie. Nie poradzi oddechu wydobyć.

~~Zawróc~~ Zawróciła do swojej obory, wypuściła krowy – i stanęła przed odrzwiami, jakby dziwnie zabłąkana, kany, którędy, w ~~którą~~ stronę iść te krowy gnać.

Zajęła je nareszcie i pognała ulicą kamienistą, ~~prosto na ugory~~ prosto ~~wąską~~ drożyną wąską, stromą ponad potokiem.

Pierwszy raz wygania sama... Tak jej się dziwnie zdawało!... Nie poznawała drogi, ani pola – wszystko się ~~ta~~ odmieniło doszczętnie za jeden dzień... Zdawało jej się, że niebo wisi tuż na głowie i cięży okropnie ~~...~~ taka duszność w tem powietrzu... ~~gorąco~~... Taka ciężka mgła...

Deszcz ~~...~~ drobny, ale gęsty sypał się na trawę, na jałowce, na skałę, i ośłoniaczał wąską drogę ponad potokiem. Zaodziała się lepiej chusteczką, pociągnęła i, pochylona, stąpała w ślady ~~...~~ za krowami, które szły prosto ~~ku majowej miedzy~~ jedna za drugą, – ku majowej miedzy.

Doganiała już do miedzy, kiedy wrona przeleciała we mgle nad jej głową — i zakrakała wyraźnie trzy razy. Dziewczę zadygotało z przestrachu
— Musi coś wróżyć...

Zlękła się i, dla odpędzenia niemanego zła, przeżegnała się nabożnie. Doganiała do miedzy. Krowy, zgłodniałe, chwyciły się trawy. A ona siadła, zachylając się od deszczu, przy jedli, opuszczonej, która tu rosła sama.
— Sama...

Nie wiedziała ino, czemu jej tak ciężko, tak smutno i bolesno, jak nigdy przedtem.

Mgła mżyła się ku ziemi, poczęła zwolna osnuwać jałowce, szarą wilgotną przędzą i rozwłóczyć się po trawie długą pajęczyną, aż omotała całe pola i miedzę doszczętnie.

Krów już nie było widać...

Nie widać nic.

Słychać ino było [illegible] z za potoka, od skalistej grapy, nawoływania wron gromadne, (przeraźliwe, górne) skończone nieraz, dolatywał od strony niewyraźny śpiew. Ktoś zawodził [illegible]... O, znowu tak samo...

„Pohukaliśmy się,
kieby gołąbecki —
Hej!.. Ozlecieliśmy się,
kieby jaskółecki —
Hej!.. ozlecieliśmy się"

. . . . . .

Płacz [illegible] zagłuszył [illegible] Nie słychać już było nic, ino płacz samotny — płacz [illegible]ony...
We mgle, przy samej, opuszczonej jedli.

—

KOFFIE

Moet groeien in een bergachtig gebi[illegible]
ligt.
Koffie bedraagt 75 % van de heele w[illegible]
Brazilie produceert 67 % van de [illegible]
Midden Amerika ,, 13,8 % ,, ,,
Ned.Indië ,, [illegible] % ,, ,,

THEE

Britsch-Indie produceert 1/5 deel van [illegible]
Assam 1/5 van de [illegible]
Engeland en Kolonien beheerschen 2/[illegible]

CACAO

Moet 2000 m.M. neerslag hebben en m[illegible]

TABEL VAN DE CACAO-PRO[illegible]

Brazilie
Equador
San Thome
Nigerie
Goudkust

TABEL VAN KATOEN-PRODU[illegible]

Ver.Staten
Britsch-Indië
Egypte